

Nieskończona dychotomia

Z Anną VanMatre rozmawia Bożena U. Zaremba

Dnia 25 maja w Międzynarodowym Domu Spotkań Młodzieży w Oświęcimiu odbyło się otwarcie wystawy pt. „Tym, którzy ostrzegają...” przedstawiającej tryptyk **Anny VanMatre**, polskiej artystki mieszkającej na stałe w Stanach Zjednoczonych, która poświęciła swoje dzieło pamięci **Jana Karskiego**. Międzynarodowy Dom Spotkań Młodzieży mieści się obok Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau. Otwarcia wystawy towarzyszył koncert amerykańskiego saksofonisty i kompozytora jazzowego **Ricka VanMatre**, który zaprezentował między innymi utwory *Villanelle* i *Wewnątrz powyżej*, również zadedykowane Karskiemu.



Anna VanMatre w MDSM, fot. Steve Oldfield.

Bożena U. Zaremba: Jak powstał pomysł zadedykowania Pani pracy Janowi Karskiemu?

Anna VanMatre: Kiedy zostałam zaproszona do zrobienia wystawy w Międzynarodowym Domu Spotkań Młodzieży w Oświęcimiu, zaczęłam zastanawiać się nad koncepcją tego projektu. Wydawało mi się, że wiem wszystko na temat drugiej wojny światowej, bo wyrosłam w Polsce powojennej, znałam ludzi, którzy przeżyli Auschwitz. Na przykład ojciec mojej przyjaciółki był królikiem doświadczalnym eksperymentów medycznych Dr. Mengele. Niestety zmarł potem młodo, bo był bardzo pokiereszowany. Moi rodzice też przeszli przez najrozmaitszego rodzaju wojenne problemy. Ale mimo to zaczęłam dużo czytać na temat wojny, oglądać zdjęcia i filmy, i nagle ta rzeczywistość okazała się jeszcze bardziej przerażająca niż mi się wydawało. Potem nie mogłam spać po nocach. Któregoś dnia rozmawiałam z Kayą Mirecką-Ploss[1], z którą się przyjaźnimy od lat, i powiedziałam jej, że chciałam zadedykować tę wystawę Karskiemu. Jeszcze za jego życia, kiedykolwiek spotykaliśmy się razem, zawsze wracaliśmy do tematu Zagłady Żydów. Karski miał nieustające wyrzuty sumienia, że nie mógł pomóc, że nie udało mu się zatrzymać Holokaustu. To był taki obłęd, który prześladował go przez całe życie. Kaya powiedziała, że to genialny pomysł. Zatytułowałam tę wystawę „Tym, którzy ostrzegają...”. Karski był jednym z pierwszych, który próbował ostrzec świat.

W jakich okolicznościach poznała Pani Karskiego?

W 1996 r. zaczęłam współpracować z Amerykańskim Centrum Kultury Polskiej w Waszyngtonie, którego dyrektorem była wtedy Kaya Mirecka-Ploss. Centrum organizowało coroczny tzw. „Testimonial Dinner”, na którym wyróżniano osobistości, które przyczyniły się do propagowania dobrego imienia Polski. Pierwsza gala, którą razem zorganizowałyśmy odbyła się w 1998 r. Zaprojektowałam na tą uroczystość zaproszenie i program. Osobami, które zostały wówczas wyróżnione byli właśnie Jan Karski, także Zbigniew Brzeziński i Alexander Haig. Wtedy właśnie poznałam Karskiego. Kaya znała go bardzo dobrze, przyjaźnili się przez 30 lat, ona się nim opiekowała po śmierci jego żony, a potem szczególnie pod koniec jego życia. Oni byli w ogromnej bliskości i serdeczności, i wzajemnie się wspierali. Jak poznałam Karskiego, był już chory, na białaczkę. Leczenie bardzo go osłabiało.

Jakim był człowiekiem?

Starej daty *gentlemanem*. Zawsze szarmancki i uprzejmy i zawsze elegancko ubrany. Pamiętam, że jak przyjeżdżałam po niego (on nie prowadził samochodu), pierwszy podchodził do samochodu, żeby mi otworzyć drzwi od strony kierowcy i potem, ledwo idąc i opierając się o samochód, żeby nie upaść, przeszedł dokoła, do swoich drzwi. Oczywiście chciałam zrobić odwrotnie, ale nie, mowy nie było. Zatrzymywałam się wtedy u Kayi, w gościnnym pokoju. Karski miał swój pokój, urządzony specjalnie dla niego, a wieczory spędzaliśmy razem na rozmowach. Karski już wtedy nie wykladał i cieszył się, że ma słuchacza, a ja słuchałam go z wielkim zainteresowaniem. Czasem chodziliśmy do restauracji. Zawsze zamawiał Manhattan, bo to był jego kultowy drink. Jadał malutko. Zawsze gentlemański, nigdy nie przyznawał się, że cierpi. A jak zasłabł, to Kaya zawoziła go do szpitala i nie raz przesiedziała z nim w szpitalu całą noc. Karski był człowiekiem o silnych przekonaniach moralnych, gdzie wszystko musiało być prawe, a ludzie uczciwi i prawdomówni. Był przy tym ciepłym, wrażliwym człowiekiem, chociaż tego nie pokazywał, zwłaszcza ludziom, których nie znał.

Jego wrażliwość przebija jednak w jego wypowiedziach publicznych, na przykład w sławnym wywiadzie do filmu „Shoah”.

Tak, właśnie. Poza tym on zawsze był pełen pasji, do wielu spraw podchodził bardzo emocjonalnie, a kiedy się skupiał nad czymś w danym momencie – tylko to się liczyło.

Co według Pani jest najistotniejsze, jeżeli chodzi o jego spuściznę?

Myślę, że jego przesłanie, żeby ten horror nigdy więcej się nie powtórzył. To chciałam też podkreślić w swojej pracy.

Czy obraz powstał po tym jak Pani zdecydowała się dedykować go Karskiemu?

Tak, od początku wiedziałam, że chcę tę wystawę jemu zadedykować.

W jaki sposób historia Karskiego wpłynęła na tematykę Pani pracy?

Praca jest poświęcona jego pamięci i oczywiście tematy tragedii wojennych

przewijają się w jego wypowiedziach i książce, ale bezpośrednich relacji nie ma. To jest moja interpretacja na podstawie moich osobistych przeżyć i lektury książek.

Wspomniała Pani o losach swojej rodziny. Może Pani powiedzieć coś więcej na ten temat?

Moja mama przeżyła Syberię, bo jej rodzina została wywieziona pod karabinami do obozu pracy i zagłady w Kazachstanie. Część rodziny przeżyła, ale jak im się to udało, to naprawdę nie wiem, nie jestem w stanie tego zrozumieć. W każdym razie to, co opowiadają było okropne. Ojciec natomiast był żołnierzem AK. Na wschodzie na Wołyniu został bardzo ciężko ranny. Rano znaleźli go Niemcy na polu bitwy i on ich prosił, żeby go zabili, a oni myśląc, że jest Niemcem (świetnie mówił po niemiecku), wzięli go do niemieckiego szpitala, gdzie zrobili mu operację. Potem uciekł. Przypadki, czy cudowne ocalenia?

Jakie jest przesłanie Pani obrazu?

Chciałam, żeby to był mocny przekaz. Centrum jest tuż obok Muzeum w Auschwitz, a Auschwitz to miejsce, gdzie zadaje się fundamentalne pytania o sprawiedliwość, miłość, prawdę. To miejsce, gdzie cywilizacja kompletnie legła w gruzach i gdzie nie liczyły się żadne wartości. Moim celem było sprowokowanie odbiorcy do myślenia i wywołanie u człowieka uczucia empatii. Uważam, że mocna sztuka jest najlepszą lekcją, szczególnie dla młodego pokolenia, które często niewiele wie, albo nic nie wie, albo nie chce wiedzieć, co się wydarzyło w tym miejscu, o tym jednym z największych historii ludzkości masowym mordzie. Chciałam przedstawić atmosferę strachu, terroru, horroru, takiego unicestwienia, życia pomiędzy strachem a śmiercią, a jednocześnie pokazać eteryczność i kruchość ludzkiego istnienia. Jeżeli człowiek jest w stanie pojąć cierpienie tych ludzi i przenieść to na własne uczucia, to nigdy więcej to się nie wydarzy, bo nikt nie chciałby znaleźć się w takiej sytuacji. Takie były w każdym razie moje intencje.

Pani praca jest tryptykiem, o łącznej długości 21 metrów.

Tak, to są trzy ściany ułożone w kształcie litery „u”: ściana lewa, ściana centralna i prawa. Historia zaczyna się od lewej strony: przyjazd do obozu, ciemna noc, wyjście z pociągu, oszołomienie, totalna konsternacja. To wszystko było potworne -

zdezorientowani, nieświadomi niczego ludzie, którzy z tego „normalnego świata”, nagle się znaleźli w koszmarze, którego się nie spodziewali, którego nie byli w stanie przewidzieć. Wszyscy spodziewali się najgorszego, ale nikt się nie spodziewał niewyobrażalnego. A to, co tam było to było niewyobrażalne. Starłam się narysować to wszystko, te dymy, te ognie, popiół. Człowiek był w tym zamknięty, bez możliwości odwrotu. Ta cała narracja toczy się przez ogień i dym, czasami czarny, czasami szary, mglisty, przysłaniający widok. Na centralnej ścianie jest niewielki element pięknego błękitnego nieba. To jest taki symbol jedyne go kontaktu ze światem zewnętrznym, z wolnym światem, bo patrząc w niebo nie widać było drutów ani płomieni i dymów.

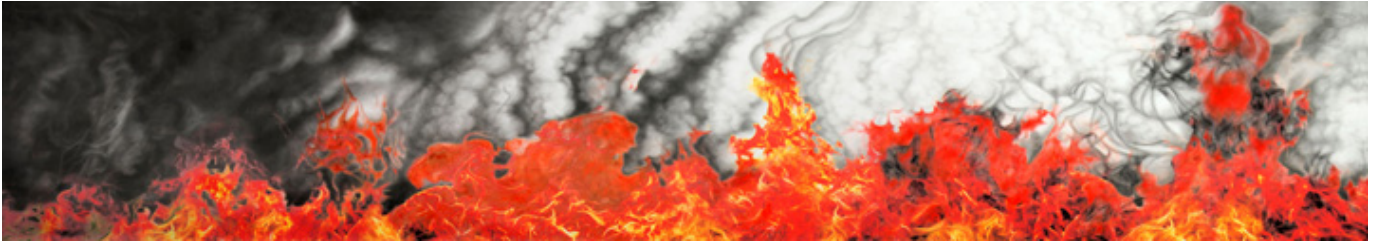
Czy też symbol nadziei?

Być może, bo ten moment, kiedy człowiek patrzył w ten błękit, to myślał: „Może stąd wyjdę, może mi się uda”. Ludzie, którzy opisywali swoje przeżycia obozowe, zawsze mówili, że starali się żyć dniem dzisiejszym. Nikt nie myślał o tym, co będzie za miesiąc, za dwa, za rok. Chodziło o to, żeby przeżyć do końca dnia. Wybierało się jakieś okruchy do jedzenia, starało się utrzymać choć minimalną higienę. Takie zajęcie się sobą i prawie nikt nie był w stanie pomóc innym. Byli oczywiście ludzie, którzy przy tym okrucieństwie i upodleniu, potrafili myśleć o drugim człowieku – organizowali ekstra porcje kawy czy zupy, czy pomoc lekarską, przemycali różne rzeczy. To było bohaterstwo. Ale to było jednocześnie występowanie wbrew samemu sobie, bo każda energia zużyta na kogoś innego była energią straconą.

Ale wróćmy do tego, co przedstawia Pani obraz...

Poza tym niewielkim fragmentem niebieskiego nieba, wszędzie jest dym i ogień, nieustannie płonący, bo tam nie było przerw. Piece działały dzień i noc, i wszyscy o tym widzieli i czuli ten potworny swąd i myśleli – dzisiaj ktoś inny, a jutro będę ja. Potem przechodzimy do ściany prawej, która jest chyba częścią najbardziej dramatyczną, esencją terroru i horroru. Tryptyk kończy się pożogą: dymy są czerwono-purpurowe, jakich wcześniej nie malowałam. Tam nie ma *happy-endu* – niestety. Nawet jeżeli jakaś garstka ludzi się uratowała, jeżeli nawet wrócili do powszedniego życia, nie było tam według mnie normalności. Chyba to jest niemożliwe.

Tryptyk Anny VanMatre



Lewa ściana instalacji



Centralna ściana instalacji



Prawa ściana instalacji

Porozmawiajmy też na temat warsztatu. Rozumiem, że użyła Pani techniki multimedialnej.

Tak, tak można to nazwać. Posłużyłam się fotografią cyfrową. Użyłam około 100 zdjęć samego ognia wielu fotografów i potem te zdjęcia nakładałam na siebie na komputerze, używając różnych programów. Zrobiłam wielowarstwowe kolaże, przetwarzając te zdjęcia na mój własny sposób. Potem je wydrukowałam na wielometrowym, syntetycznym papierze, a dymy i chmury rysowałam ręcznie używając grafitu i pasteli. Niektóre partie fotograficzne ognia są również podmalowane pastelami.

Patrząc na Pani inne prace, można zauważyć, że dominującym tematem jest natura.

Tak, natura jest moją największą inspiracją. Staram się pokazywać obrazy, który są

ewidentnie nastawione na ochronę środowiska. Takie jest moje przesłanie artystyczne. Miałam na przykład całą serię obrazów po wypadku w Czarnobylu: gigantyczne, czarno-białe plansze, często trójwymiarowe, rysowane grafitem. Czasem czuję, że to jest taki głos w pustkę, ale może ktoś wreszcie usłyszy. Miałam też serię poświęconą World Trade Center. Esencję tej tragedii wyraziłam w wertykalnych dyptykach, które są równocześnie przerażające i wizualnie piękne. Chciałam to zatrzymać, zamknąć w jednej sekundzie. W mojej twórczości jest taka dychotomia – pokazuję piękno natury, ale czasem jest to okrutne piękno, bo wybuch wulkanu jest przecież piękny, ale jednocześnie niszczy całe okolice i zabija ludzi.

Z jednej strony zatrzymanie w czasie, ale z drugiej strony, przez zestawienie obrazów o tej samej tematyce, nadaje Pani dziełu dodatkowy wymiar, tj. wymiar czasu...

Tak, staje się to jakby opowieścią. Jakby na jednym obrazie było za mało miejsca na opowiedzenie historii. Tak samo jak moje *Metamorfozy*, które wiszą w Filharmonii Krakowskiej.

Właśnie, proszę opowiedzieć coś o tej współpracy i spotkaniu z Krzysztofem Pendereckim.

Krzysztofa Pendereckiego poznałam w 1999 roku, kiedy był gościem Orkiestry Symfonicznej w Cincinnati, która poprosiła mnie o zrobienie wystawy podczas trwania koncertów. Penderecki był ciekawy, czy nie mam czegoś, co jest związane z jego sztuką. Postanowiłam, że zrobię specjalną serię. Wybrałam jego *II Koncert skrzypcowy „Metamorphosen”* i zrobiłam swoje *Metamorfozy* do jego utworu, a jak kilka lat temu Filharmonia Krakowska ogłosiła Rok Pendereckiego z okazji 80. rocznicy jego urodzin, zaprosiła mnie na otwarcie sezonu. Przywiozłam swoje prace i zostały na stałe zainstalowane w Krakowskiej Filharmonii. To też jest taka opowiastka – siedem paneli, jak siedem dni tygodnia, siedem bram Jerozolimy, siedem cudów świata. Ta siódemka u Pendereckiego też się powtarza. Mówiąc więc o opowiastkach – znowu mało miejsca, żeby opowiedzieć jakąś historię, tak samo w Oświęcimiu, gdzie jest aż 21 metrów i gdyby było więcej miejsca pewno bym dalej snuła te opowieści w nieskończoność. Jakoś nigdy nie mam wystarczająco dużo powierzchni, żeby się wypowiedzieć.

Nam miejsca chyba też nie wystarczy na wszystkie fascynujące opowieści o Pani pasjach [śmiech]. Nie zawsze artysta potrafi tak interesująco mówić o swojej sztuce.

Dziękuję bardzo, staram się robić to co robię, żebym nie musiała mówić [śmiech]. Ale większość ludzi chce usłyszeć, co ta sztuka mówi. Poza tym nie zawsze się to widzi. Na przykład mam serię *DeNatural Disaster* o tym, jak Ameryka włączyła się do wojny w Iraku. To było dla mnie ogromnym szokiem - że mamy XXI wiek i nagle wojna? Byłam wściekła robiąc te obrazy. To była absolutna furia! Taki głos artysty „Zatrzymać. Absolutnie nie!” I jak się patrzy na te moje obrazy to nie wiadomo, czy to jest dzieło natury czy to jest niszczące dzieło człowieka, który ingeruje w tą naturę, czy to jest wybuch wulkanu i czerwona lawa, czy to jest pole bitwy i lejąca się krew.

Większość Pani prac jest monochromatyczna, ale w tych odcieniach szarości nagle pojawia się jakiś kolor kontrastowy, np. czerwony. W ten sposób buduje Pani dramaturgię.

Tak się staram. W tryptyku poświęconym Karskiemu oprócz szarego posługuję się głównie czerwonym, jest trochę żółtego i pomarańczowego. Jedynym kolorem kontrastowym jest błękitne niebo. Wszystko w tym obrazie się przewala i kłębi, i jest w nieskończonym ruchu. Te chmury są czasem chmurami, a czasem dymami i ta całość też nie jest jednoznaczna. Podświadomie wiemy skąd się wziął ten dym. Jest w tym życie, ale jednocześnie jest w tym śmierć, bo dym i ogień pochłaniają wszystko i nie zostaje nic.

Jakie będą losy tego obrazu po zakończeniu wystawy?

Wystawa w MDSM będzie otwarta do 22 lipca tego roku. Dalszych planów na razie nie znam. Dostałam kilka propozycji pokazania tej pracy w USA, ale konkretów jeszcze nie ma.



Anna VanMatre i Jan Karski w 1998 roku, fot. arch. artystki.

Przypisy:

[1] Działaczka polonijna w USA i autorka kilku książek, blisko związana z Janem Karskim, a po jego śmierci propagatorka jego pamięci i spuścizny. Była prezes Amerykańskiej Rady Kultury Polskiej i była dyrektorem Amerykańskiego Centrum Kultury Polskiej w Waszyngtonie.

Portal artystki (w j. ang.): www.annavanmatre.com

Wersja angielska wywiadu na stronie Jan Karski Educational Foundation:
www.jankarski.net

<https://www.jankarski.net/en/news-and-events/news/the-everlasting-dichotomy.html>